

Polska Ekstraklasa, czyli prywatne zyski z publicznych środków

10 maja 2011



W ostatnich dniach obok relacji z misji komandosów, którzy aby zamordować najbardziej poszukiwanego terrorystę świata muszą rozbić wart miliony dolarów helikopter, widzowie telewizji mieli też okazję obejrzeć burdy w Bydgoszczy. Nienawidzący się chyba jeszcze bardziej aniżeli Tusk i Kaczyński szalikowcy Lecha i Legii przy pozornej bitwie wspaniale zrealizowali swoje wielkie dzieło: destrukcję stadionu lekkoatletycznego. Nie pierwszy już zresztą to raz, kiedy obiekt lokalnego Zawiszy ulega destrukcji. Acz pierwszy, gdy dokonują jej przyjezdni. Stosunkowo niedawno swoje możliwości pokazali tu już miejscowi podczas meczu niższej klasy rozgrywkowej. Temat rozgrzał media i kiedy świat transmituje tryumfalne gesty prawicowych przywódców radujących się ze złamania prawa międzynarodowego przez Amerykanów, nasz premier, tak jakby chciał się już szykować do Pokojowego Nobla, wciela się w postać sprawiedliwego szeryfa.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że rząd PO-PSL z lubością

unika realnych problemów, chętnie natomiast dąży do rozwiązywania tych istotnych z punktu widzenia telewizji. Oczywiście nie chodzi o kwestie problematycznie światopoglądowo – partii wąsatych przedstawicieli klasy średniej kreującej się na ruch młodych nie sposób traktować jako reprezentacji interesów ludzi bardziej, powiedzmy, wyzwolonych. Nie ma mowy o przywróceniu praw kobietom, takich jak aborcja, bo trudno byłoby przecież wtedy utrzymywać dystanse płacowe ze względu na płęć i pogodzić to z poddaństwem wobec Kościoła. PO nie dąży do emancypacji homoseksualistów, bo jej dobrze opłacane elity mogą świetnie bawić się w drogich warszawskich klubach gejowskich, a ustępstwa w dziedzinie polityki narkotykowej są nader skromne. Reakcji na kokainowe ekscesy senatora PO Krzysztofa Piesiewicza właściwie nie było żadnej. Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia, można by rzec. Problemy mogące wywołać spór z Kościołem katolickim czy inne tematy niepopularne dla konserwatywnego społeczeństwie oczywiście nie są więc poruszane. Najlepiej zatem odnieść się do takich spraw jak uczciwość i sprawiedliwość, szczególnie gdy chodzi o los dzieci.

Tusk świetnie czuje społeczne nastroje. Najpierw walczył z pedofilami, a jego propozycje (zaczynał od postulatu chemicznej kastracji) zostały rychło przepchnięte przez Sejm (1 głos przeciw Marka Balickiego, dosłownie jeden jedyny). Potem niedożywione, acz uwolnione już od pedofilii dzieci postanowił odciąć od tzw. dopalaczy. Ten pomysł też się sprawdził, o dziwo, nawet po przerejestrowaniu działalności do Czech, te zbliżone w swoich właściwościach do narkotyku substancje są często przechwytywane przez Straż Graniczną. Same sukcesy. Można nawet by pomyśleć, że rządzi nami racjonalna socjaldemokracja, skoro oprócz palących problemów społecznych rząd rozwiązuje jeszcze jeden: idąca w słusznym kierunku reforma systemu emerytalnego, która zmniejsza przynajmniej częściowo pole do spekulacji pieniędzmi przyszłych emerytów na rynkach finansowych. Rząd wytrzymuje

nawet opór Centrum Adama Smitha i Leszka Balcerowicza, co pomimo używania przez ministra finansów tak subtelnych czasowników jak „oszczędzać” i „odkładać” w miejsce rzeczownika „emerytura”, zasługuje na podziw. Tutaj kończy się wszystko, co dobre. Rząd przeforsował też bowiem szkodliwą reformę szkolnictwa wyższego, zapoczątkowując proces przemiany publicznych uczelni w poligony doświadczalne dla wielkiego biznesu i odbierając prawo do dwukierunkowej edukacji potomkom ludzi lokujących się poniżej poziomu klasy średnio-wyższej. Brutalne urynkowanie służby zdrowia, kupczenie limitami CO2 czy gorące poparcie dla budowy elektrowni atomowej, której koszty ekologiczne szacują na mniej więcej 150 mld zł. Racjonalności, jakiegokolwiek, bo o socjaldemokratycznej chyba wstyd już nawet przypominać, doszukać się tutaj zatem bardzo trudno.

Jednakże, kiedy tylko można uciec od trudnych tematów albo zamaskować rozliczne wątpliwe moralnie i ekonomicznie inicjatywy, premier sięga po sprawdzony garnitur szeryfa. Ostatnie wydarzenia prowokują zresztą do tego nader chętnie: piłka nożna to przecież temat politykom znakomicie znany. Tak jak większość polskich posłów poluje w czasie wolnym, co dobitnie tłumaczy dlaczego nasz parlament nie jest w stanie przegłosować jakiegokolwiek prawa zwiększającego zakres praw zwierząt, tak trudno też byłoby oczekiwać, aby oczarowani futbolem posłowie mogli mu wyrzucić jakąkolwiek krzywdę. A właściwie to nie futbolowi, tylko obecnemu modelowi korporacyjnemu, który rozwinął nad polską ligą swoje ciemne interesy.

Piłka nożna to sport, który zawsze rozgrzewał mężczyzn, z autorem niniejszego artykułu włącznie, ale chyba nigdy nie czynił tego tak mocno względem biznesu. Dlaczego to się zmieniło? Powody są proste. Tak jak cały, coraz bardziej skomercjalizowany sport, również futbol przeszedł rewolucję. Dyscyplina bardziej niegdyś chaotyczna zarówno w sensie taktycznym, jak i finansowym, staje się coraz bardziej

handlowym zjawiskiem. Owszem, w dalszym ciągu opakowanym w klubowe barwy i odwołującym się do prawdziwych emocji, niemniej wszystkie te elementy są ochoczo wykorzystywane przez menedżerów, którzy tak chętnie manipulują kibicami, jak politycy wyborcami, kiedy rozwiązują bulwersujące ich kwestie moralne zamiast zająć się np. sprawiedliwym systemem dystrybucji bogactwa. Piłka jest stricte komercyjna: w 2009 r. Manchester Utd. otrzymał od Realu Madryt 94 mln euro za odstąpienie swojego zawodnika, Portugalczyka Cristiano Ronaldo. Zarabia on w swoim obecnym klubie ok. 11,3 mln funtów rocznie. Taka gaża jest kwotą astronomiczną nawet dla prezesów Orlenu i Pekao, o piłkarzach sprzed kilku dekad nawet nie wspominając. Trendy te nie są też obce naszym rozgrywkom piłkarskim. Chociaż polskie drużyny od lat mają opinie w najlepszym razie przeciętnych, to piłkarzom trudno narzekać na płace. Np. Euzebiusz Smolarek, wyjątkowo zresztą nieskuteczny napastnik Polonii Warszawa, inkasuje ok. 400 tys. euro za sezon. Trudno też się dziwić, że piłka nożna jest tematem biznesowym, skoro właściwie odgórnie narzuca to struktura właścicielska polskiej Ekstraklasy, gdzie właścicielami są obecnie takie korporacje jak ITI (Legia Warszawa) czy Allianz (Górnik Zabrze). Innymi zarządzają państwowe koncerny: KGHM (Zagłębie Lubin) i PGE (GKS Bełchatów), przed paroma laty także Orlen. Inne kluby to zabawki miliarderów. Właściciel Telefoniki Bogusław Cupiał od lat finansuje najlepszy zespół, Wisłę Kraków, której lokalna rywalka, Cracovia, to część imperium komputerowego potentata, Janusza Filipiaka, właściciela Comarchu. W stolicy obok ITI w piłce działa też Józef Wojciechowski, deweloper od J.W. Construction. Powiedzieć zatem, że polska piłka klepie finansową biedę, to znaczy minąć się z prawdą dość wyraźnie.

Mimo to, biznesmeni chętnie korzystają z pomocnej ręki państwa. Chociaż kolejne rządy likwidowały nieliczne przejawy interwencjonizmu, to ostatnimi czasy PO (partia entuzjastów wolnego rynku) chętnie subsydiuje wielkie korporacje. Neoliberałowie korzystają z pomocy instytucji publicznych,

choć jak pisze Jane Hardy, „ekonomiści neoliberalni wypierają ze świadomości rolę, jaką historycznie odgrywało państwo (...) i jego kluczową, jeśli chodzi o akumulację kapitału, pozycję”. Wsparcie wymogły kolosalne koszty budowy nowoczesnych stadionów. To właśnie one miały bowiem przyciągnąć (i już to robią) tłumy kibiców na polskie stadiony. Argumentację dla tego wytworzyć było łatwo. Od lat polskie obiekty były przestarzałe, wpływy ze sprzedaży biletów niewielkie, co nie pozwalało profesjonalnie szkolić zawodników. Dodatkowo, trudno było na zardzewiałych trybunach dopilnować krewkich, wschodnioeuropejskich kibiców. Impulsem ostatecznym było przyznanie Polsce organizacji Euro 2012. Prestiżowa impreza miała przynieść krociowe zyski, stanowić impuls do modernizacji kraju i podnieść narodowy prestiż. Modernizacji nie będzie, wszystkie projekty właściwie odsunięto w czasie (autostrady, metro w Warszawie, lotniska, bazy hotelowe), powstały natomiast stadiony. Oczywiście za publiczne pieniądze, albowiem nawet dla wielkich inwestorów wyłożenie kwot rzędu kilkuset mln zł okazało się nieopłacalne. Efekt: w całej Polsce samorządy budują astronomicznie drogie obiekty, najdroższy zaś powstaje w Warszawie ze środków zaczerpniętych z budżetu centralnego.

Według różnych szacunków będzie kosztować od 1 do 2 mld zł. Z kolei w odległości trzech km ratusz Warszawy stawia kosztem 460 mln zł drugi wielki stadion. W planach trzeci duży obiekt, dla drugiej ze stołecznych drużyn, natomiast fakt, że wszystkie trzy mają charakter piłkarski, nasuwa przypuszczenia, że w niedalekiej przyszłości w Warszawie powstanie czwarty wielki stadion, przystosowany np. do potrzeb widowisk lekkoatletycznych. Gdzie indziej sytuacja ma się podobnie. W Poznaniu miasto wydało na modernizację stadionu Lecha 700 mln zł, w Krakowie powstają aż dwa stadiony, bo miasto chciało uniknąć burd pomiędzy kibicami obu lokalnych drużyn. Należące do miliardów kluby otrzymały właściwie za bezcen dwa stadiony wybudowane przez miasto. Koszty wynajmu nie pokrywają kosztów budowy nawet w terminie długoletniej

dzierżawy. Kwintesencją tej sytuacji jest sytuacja w Warszawie, gdzie najpierw ratusz wybudował za 460 mln zł stadion, po czym oddał go na 25 lat związanej z giełdową spółką ITI Legii. Odliczywszy VAT i opłaty wnoszone przez dzierżawcę przez ćwierć wieku, stołeczne władze stracą „ledwie” niecałe 300 mln zł. Legia tymczasem zarabia krocie. Na nowym stadionie radykalnie wzrosły ceny biletów, a właściciel samodzielnie (bez udziału miasta) sprzedał prawa do nazwy koncernowi PepsiCo. W zamian za tytuł Pepsi Arena, sponsor będzie płacił Legii 6 mln zł rocznie, czyli niemal dwa razy więcej niż sama Legia płaci miastu. Nawet takie, jawnie korupcyjne układy nie uciszają jednak właścicieli klubów, którzy po burdach swoich szalikowców w Bydgoszczy i zamknięciu na ich skutek trybun dla kibiców, twierdzą, że poniosą w ten sposób ogromne straty.

Jeszcze ciekawszym przypadkiem jest chyba Poznań, gdzie właściciele Lecha narzekali na to, że nie ich winą, lecz miasta, jest fakt, że na ich stadionie jest niebezpiecznie. Rzeczywiście, nawet wart 700 mln zł obiekt nie okazał się odporny na zadymiarzy. Podobnie jak zresztą murawa, którą trzeba było w niecały rok od otwarcia obiektu wymieniać już pięciokrotnie, co samo w sobie kosztowało kolejne miliony. W dodatku stadion ten to prawdziwy architektoniczny potwór, który w pewnych miejscach nie zapewnia widoczności boiska, a jego konstrukcja powoduje wstrząsy konstrukcji pobliskich bloków, kiedy kibice dopingują swoich ulubieńców w trakcie meczu. W takie same projekty uwikłane są władze Wrocławia, Gdańska, Gdyni, Białegostoku, Kielc i paru innych miast. W Łodzi kluby również domagają się budowy nowych stadionów i to oddzielnych dla obu głównych drużyn. To ciekawe, że domagają się tego instytucje, których piłkarze nie przychodzą na treningi z powodu nieotrzymywania pensji przez 5 miesięcy (Widzew) albo ich drużyny dosłownie tracą licencję na grę w Ekstraklasie nie w wyniku porażek w sportowej rywalizacji, ale niepewnej sytuacji finansowej, jak ŁKS parę lat temu. Kluby są zatem deficytowe, miastu przynoszą straty poprzez hordy swoich

kiboli, ale same domagają się kilkuset milionów od nie najbogatszego przecież samorządu w Łodzi...

O ile programowi Orlików można przypisać dobre intencje, chęć rozruszania coraz bardziej otyłych Polaków i wskrzeszania mizernego jak do tej pory kapitału społecznego, to o tyle budowa nowoczesnych aren widowiskowych wydaje się być porażką. Na nowych obiektach nie jest wcale bezpieczniej czy kulturalniej, a nasze drużyny w dalszym ciągu nie stronią od kompromitujących porażek. Za to sprzedaż biletów i akcesoriów rośnie bardzo wyraźnie. Wiele osób zatem czerpie z polskiej piłki jawne korzyści finansowe. To chyba nie agresywni kibice demolujący raz na jakiś czas pewien kwartał miasta stają się w takim świetle najbardziej kłopotliwym elementem piłkarskiego układu. Prawdziwym koszmarem rodzimego futbolu są jawnie korupcyjne stosunki, dla których ogromnym źródłem dochodu jest wysysanie funduszy ze środków publicznych.

Oczywiście problem agresywnych kibiców, którzy sens sportu widzą w podkręcaniu nienawiści i organizowaniu ustawek poza bramami stadionów pozostaje żywy, ale jest to zjawisko, w które umoczone jest tylko nieliczna część osób obserwujących swoje drużyny z perspektywy trybun. Zresztą można temu przeciwdziałać, brakuje jedynie dobrej woli. Niedawno ujawniono fakt iż szef największego stowarzyszenia kibicowskiego Lecha Poznań organizował catering na trybunach mogących pomieścić ponad 40 tys. fanów, był to zatem biznes na bardzo dużą skalę. Robił to pomimo... zakazu stadionowego. Innym przypadkiem jest „Staruch”, znany szalikowiec Legii, który swego czasu kierował tłumem skandującym życzenie śmierci wobec właściciela ITI, Mariusza Waltera, zaraz po śmierci jego współpracownika Jana Wejcherta. Ten sam człowiek po odwieszeniu zakazu stadionowego w świetle kamer i braku reakcji ochrony klubowej, pobił jednego z piłkarzy Legii. Walter w świeżo udzielonym wywiadzie twierdzi, że to nie wina właścicieli klubów, że nie są w stanie wyłapać każdego bandyty, który wniesie na stadion małą petardę w kieszeni,

niemożliwą do wykrycia przez ochroniarzy. To ciekawa teoria, bo kiedyś niechcący prawie wniosłem na inny stadion, klasyczny, mały szwajcarski scyzoryk. Został on z łatwością wykryty w czasie kontroli na bramce (takie kontrole są uniwersalne w całym kraju), a osiłek z agencji ochrony długo nie dawał się przekonać, że nie jestem nożownikiem i nie trzeba przekazywać mnie policji czy wlepić zakazu stadionowego. Nie należę do żadnej grupy kibicowskiej ani grona masywnych mężczyzn budzących postrach. A mimo to, wyłapano ten nieszczęsny scyzoryk. Skoro nawet tak niegroźne osoby jak ja są poddawane kontroli, to jakim cudem groźni już z samego wyglądu mięśniacy wnoszą na trybuny monstrualne race, petardy, którymi obrzucają fanów przeciwnej drużyny i rasistowskie flagi? Walter mija się z prawdą, to tylko kwestia dobrej woli i konsekwencji w działaniu. Kiedy jednak mowa o wypełnianiu stadionu zbudowanego za publiczne pieniądze i czerpaniu partykularnych korzyści ze sprzedaży drogich biletów jak największej liczbie ludzi, dochowanie milczenia na temat prawdziwych przyczyn chuligaństwa jest doprawdy złotem.

Prawdziwe oblicze piłki nożnej nie jest tak mroczne, jak z lubością przedstawiają to media. Na trybunach polskiej ligi wychowało się wielu zwykłych, szanujących prawo obywateli. Czarny obraz kryminalnego charakteru kibiców jest z pewnością przesadzony, ale stanowi znakomite pole do realizowania się przez polski rząd w roli gwaranta ładu społecznego, czym można przysłonić łatwo jego marazm w innych dziedzinach. Do takiego obrazu nie pasują autentyczne przeciwieństwa, gdy spokojnie maszerujący na stadion fani wszczynają awantury dopiero po policyjnych prowokacjach. Prawdziwym wyzwoleniem futbolu byłoby przywrócenie mu na powrót logiki (nie tej biznesowej), a nie przemienianie go w maszynkę do wysysania publicznych pieniędzy przez grupki interesu. Kiedy właściciele klubów Ekstraklasy wreszcie zajmą się wyłapywaniem pojedynczych chuliganów zamiast finansować ich działalność, może więcej nacisku położą na sam sport i nasi piłkarze przestaną być pośmiewiskiem. Manifestacje siły naszych kiboli na Litwie,

nikomu na świecie nie zaimponują. Zyski, w epoce finansowania piłki przez reklamy telewizyjne, można czerpać z sukcesów zapewniających popularność, a nie tylko przekrętów przystrojonych w piłkarskie koszulki.

Autor: Łukasz Drozda

Zdjęcie: [Filko Dawidzinski](#)

Źródło: [Lewica](#)